

Pismo

MAGAZYN OPINII

WRZESIEŃ 2020 | NR 9 (33)

HISTORIA OSOBISTA

Sadowska:
#JaTeż

ROZMOWA

Graff:
Ocali nas
lewicowy
populizm

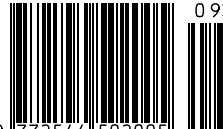
LITERATURA

Keret
Rudniańska
Sedaris

CENA: 14,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

09>



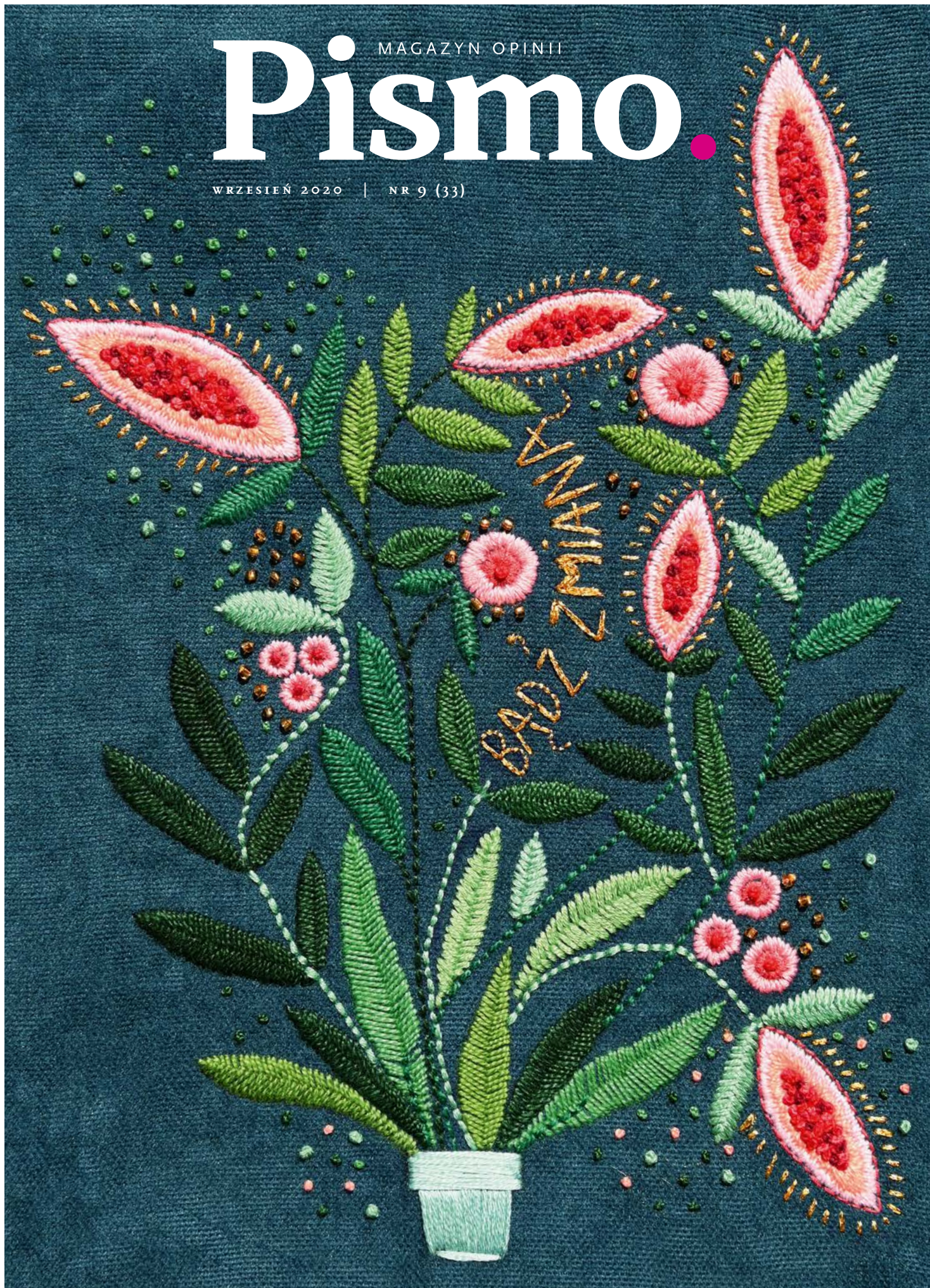
9 772544 502005

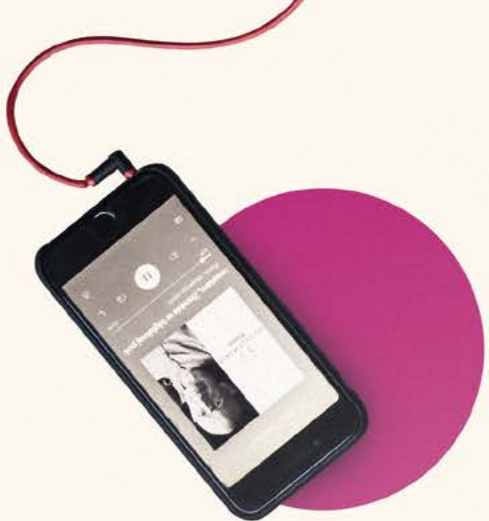


MAGAZYN OPINII

Pismo

WRZESIEŃ 2020 | NR 9 (33)





„Pismo” z darmową dostawą i dostępem online

14,99 zł miesięcznie

magazynpismo.pl/kup



MAGAZYN OPINII Pismo.

WRZESIEŃ 2020

OPOWIADANIE

Biała pavlova | 6
JOANNA RUDNIAŃSKA

Ewolucja rozstania | 91
ETGAR KERET

Nieoswojona | 92
DAVID SEDARIS

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne we wrześniu

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 57
AGNIESZKA GLIŃSKA

POEZJA

Pobyt mój taki piskliwy w nieustannym głosie | 11
KRYSTYNA MIŁOBĘDZKA

[...] | 51
LIANA LANGA

OBRAZ

CYKL DOBRO WSPÓLNE **Bartnik, pszczelarz pierwotny** | 4
MARTA RYBICKA

FOTOREPORTAŻ **Zaczyn** | 32
MAGA ĆWIELUCH

KOMIKS **Działka** | 70
BERENIKA KOŁOMYCKA

HAFTY

MARTA STASZEWSKA SZYTA_MOWA

OKŁADKA **Kobieto, bądź zmianą**
MARTA STASZEWSKA

FELIETON

2 | TYMCZASEM **Szpaki. Jednoaktówka**
MARCIN WICHA

96 | PRZYPISY **O feminizmie**
ZUZANNA KOWALCZYK

ROZMOWA

12 | **Ocali nas nowy, lewicowy populizm**
KAROLINA LEWESTAM pyta AGNIESZKĘ GRAFF, czy feminizm da się uratować

REPORTAŻ

20 | **Z ubojni zwierzę nie ucieka**
BARTEK SABELA tłumaczy, dlaczego picie mleka nie jest etyczne

Z PISMEM U...

64 | **Anny Smolar**
ANNA SAŃCZUK rozmawia z jedną z najważniejszych twórczyń polskiego teatru

ESEJ

38 | **(Wy)wołanie (bez) silnych**
ZUZANNA KOWALCZYK: strategia *call-outu* i jej wrogowie

52 | **Efekt Matyldy**
WERONIKA MUREK wyjaśnia, dlaczego historia przemilczała tak wiele dokonań kobiet

58 | **Gracze z Doliny Krzemowej chcą skorzystać na pandemii**
NAOMI KLEIN patrzy na ręce gigantom z branży *high-tech*

78 | **Zielnik. Kobięca sprawa**
URSZULA PIECZEK o tym, że herbaria to zapis kobiecej relacji z naturą

84 | **Dwanaście skoków do pustego basenu**
PIOTR KOFTA o wodnych, skażonych metaforach

HISTORIA OSOBISTA

44 | **Boicie się? Ja też**
MAŁGORZATA SADOWSKA pokazuje, jak ruch #MeToo zmienił środowisko filmowe

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkowie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, **Szefowa Działu Idee:** Karolina Lewestam,
Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska, **Redakcja:** Marcin Czajkowski, Zuzanna Kowalczyk, Zofia Sawicka,
Felieton: Marcin Wicha, **Korekta:** Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, **Wydanie Cyfrowe:** Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utko, **Redaktorka Artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa marketingu i sprzedaży: Kalina Wyszyńska, **Promocja:** Ewa Salamon, **Fundraising:** Anna Linowska,
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, **Prenumerata:** www.magazynpismo.pl/prenumerata

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

**MARCIN WICHA**

(ur. 1972), grafik, projektuje okładki, plakaty, znaki graficzne. Pisarz. Nagrodzony Paszportem „Polityki” 2017 w kategorii literatura. Laureat Nagrody Literackiej Nike 2018 za *Rzeczy, których nie wyrzucim*.

Szpaki. Jednoaktówka

W tym roku modne są dacje, ale miejsce, który widzimy, nie jest dacją. Nie było też działką, gdy modne były działki. Ani chałupą, kiedy w modę weszły chałupy. Może najlepiej pasuje określenie dom letni („Przyjeżdżacie też zimą? Nie, to dom letni”). Więc: dom letni, lato, kilka osób w różnym wieku i różnym stadium urlopu. Komary w normie.

- Widzieliście dziś pisklaki?
- Odleciały – odpowiadamy chórem, ponieważ rano widzieliśmy kota. Oblizywał się, bydlak.
- Tak? – pyta dziecko. – Dokąd?
- Na studia. Studiują szpakologię.
- Szpakoznawstwo.
- Szpaki mają młode trzy razy w sezonie – mówi Marta, ponieważ zguglowała ptactwo. – Ktoś ma ochotę na deser?
- Czyli zrobią sobie nowe dzieci, tak? – pyta dziecko.
- Czyli będą mieć więcej pieniędzy i czasu dla siebie. Wreszcie będą mogły podróżować albo znaleźć jakieś hobby i obudzić w sobie dawne pasje.
- Nie w Polsce – zauważa przyjaciel domu. – W Polsce nie będą mieć więcej pieniędzy.
- Dlaczego?
- Ponieważ norma społeczna mówi, że stare szpaki powinny nadal wspierać młodego szpaka i robić mu przelewy. Dobre ciasteczka.
- Tym bardziej młody szpak nie powinien narzekać.
- Podlot – poprawia Marta, ponieważ polubiła wiele profilów dla ornitologów.
- Tym bardziej podlot nie powinien narzekać, rodzice wypruwali sobie żyły, żeby w gnieździe nigdy nie zabrakło przeżutych robaków, którymi wymiotowali mu prosto do dzioba.
- Jak się nazywają?
- Ciasteczka z Maszynki. Można je kupić w Kazimierzu – mówię.
- Ciekawa strategia – mówi przyjaciel domu. – Zazwyczaj producenci ukrywają, że coś jest z maszynki.
- Te są ze sklepu Dwójka – mówi Marta – Nazywają się Domowe.
- Zapada napięta cisza.
- Mieliliśmy tam nie chodzić.
- Ale tego dnia, jak my jechałyśmy samochodem, a wy wracaliście pieszo przez wąwóz, i okazało się, że zapomnieliśmy kupić wodę, a sklep Dwójka był najbliżej. I wtedy.
- W sklepie Dwójka sprzedają Ludowego Żydożera i Gazetkę Norymberską.
- Domowe są smaczne i znacznie tańsze niż w Kazimierzu. Piętnaście złotych za kilogram ciasteczek. W Kazimierzu za dwadzieścia złotych dostaniesz taką małą paczuszkę.
- W Kazimierzu na ścianie piekarni jest tablica ku czci Jana Karskiego.
- Antysemickie ciasteczka – podśpiewuje dziecko. – Wstrętne homofobiczne ciasteczka za piętnaście złotych. Jak w zeszłym roku byliśmy z dziadkami, to w Dwójce sprzedawali naklejki „Strefa wolna od LGBT”. Babcia kupiła i spaliła na łące.
- Wyjaśnij w jednym zdaniu, jak kapitalizm przechytrzył babcie. Uzasadnij odpowiedź. Jaką wodę?
- Co jaką wodę?
- Jaką kupiłyście wodę?
- Błękitną Kroplę Zdroju Życia.
- Błękitna Kropla Zdroju Życia finansuje obrońców życia. Chrzczą im benzynę do furgonetek.
- Obrońców życia finansuje Źródłany Skrab Przedwieku Jury.
- Ordo z Jury.
- Może naprawdę trzeba zbojkotować cały region, bo już się w tym nie połamamy.
- Równie dobrze można zbojkotować całą Polskę – oburza się przyjaciel domu.
- Żartowałem. Zresztą to Polska nas bojkotuje. Komuś dolewkę? Podobno dziś było zaprzysiężenie Dudy.
- Ten kot powinien nosić dzwonek na obroży.
- I jeszcze przez kilka godzin uda się nie bać.

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
POLECA WE WRZEŚNIU

Ethno Port w Poznaniu

Tegoroczną edycję festiwalu muzyki folkowej Ethno Port, planowaną na 4 i 5 września zorganizowano w formule hybrydowej. W Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu odbędą się koncerty, a w sieci równoległe wydarzenia online. Jak co roku festiwal zaprezentuje bogate spektrum muzyki etnicznej, choć tym razem, z powodu pandemii, głównie w rodzimym wydaniu.

WIĘCEJ: ethnoport.pl



Festiwal Łódź Czterech Kultur

Na początku miesiąca, między 3 a 6 września, wypatrujcie też interdyscyplinarnego Festiwalu Łódź Czterech Kultur. W przestrzeni miejskiej odbędą się koncerty, spektakle i projekcje pod hasłem „Przyszłość bez powrotu”. W planach między innymi premiera kooperatywy artystycznej Teatru Żydowskiego i Mariusza Szczygła na kanwie jego książki *Nie ma*.

WIĘCEJ: 4kultury.pl



Festiwal Millennium Docs Against Gravity

Największy festiwal kina dokumentalnego w Polsce w tym roku w wyjątkowej odsłonie. 17. edycja organizowana pod hasłem „Zobacz, czy rozumiesz świat, i czy świat rozumie ciebie” odbędzie się między 4 a 13 września w Warszawie, Wrocławiu, Katowicach, Poznaniu, Lublinie i Bydgoszczy, a w Gdyni – między 9 a 18 września. Po seansach w kinach część filmów będzie można zobaczyć online. W październiku zaś ruszy projekt „Podłącz się”, w ramach którego kilkanaście dokumentów zostanie udostępnionych w sieci za darmo.

WIĘCEJ: mdag.pl

Wrzesień 2020



Festiwal Tyrmanda w Stalowej Woli

Miejski Dom Kultury w Stalowej Woli po raz pierwszy organizuje Festiwal Tyrmanda – święto literatury, jazzu i architektury. Między 11 a 13 września odbędą się między innymi koncerty muzyki jazzowej, spotkania z Beatą Chomąrowską, Pawłem Sołtysem i Filipem Springerem, a także spacerzy architektoniczne oraz wystawy poświęcone życiu autora *Złego*.

WIĘCEJ: mdkstalowawola.pl



Wystawa „Strach” w Galerii Arsenał elektrownia

Do 18 października w galerii Arsenał elektrownia w Białymstoku potrwa wystawa poświęcona emocji, która od pewnego czasu najtrafniej określa naszą rzeczywistość: strachowi. Zaprezentowane tam prace artystek i artystów z Europy Środkowo-Wschodniej mierzą się z pytaniami o globalny i lokalny charakter strachu oraz jego polityczność. Zarówno wystawa, jak i program towarzyszący, realizowane są w ramach Festiwalu Wschód Kultury/Inny Wymiar 2020.

WIĘCEJ: galeria-arsenal.pl

DOBRO WSPÓLNE

Bartnik, pszczelarz pierwotny

zdjęcie i tekst MARTA RYBICKA

– Natura, tradycja, historia – tak Piotr Piłasiewicz (na zdjęciu na drzewie) określa istotę bartnictwa w Polsce. Od 2013 roku angażuje się w działania na rzecz pszczół mieszkających w Puszczy Augustowskiej. W ramach założonej przez siebie grupy Bractwo Bartne dba o zachowanie gatunku pszczoły środkowoeuropejskiej linii Augustowskiej. Współpracując z bartnikami z Białorusi, traktuje bartnictwo jako element wspólnego dziedzictwa narodów dawnej Rzeczypospolitej.

Barcie umieszcza się na najstarszych, stu pięćdziesięcioletnich sosnach lub jeszcze starszych dębach. Uzyskuje się z nich niewiele miodu, co spowodowało wyparcie bartnictwa przez pszczelarstwo. Polskie prawo traktuje pszczoły jako zwierzęta gospodarskie, a nie jako integralną część ekosystemu.

Cykl we współpracy z kampanią „Organizacje społeczne. To działa”
www.todziala.org



Biała pavlova

tekst JOANNA RUDNIAŃSKA

Od razu wiedziałam, kim jest Obcy rozszarpujący od środka Johna Hurta, który grał drugiego oficera międzygwiazdowego statku Nostromo. 11 czerwca 1980 roku, siedząc w ciemnym kinie, znów poczułam go w bebeczach. Znałam go, mieszkał we mnie wiele lat. Pozaziemski, węzowaty stwór o martwych oczach i szponiastych pazurach. Nie wiem, czy H. R. Giger, który go zaprojektował, był kiedyś naprawdę głodny. Ale wiedział, czym jest głód. Artyści wiedzą różne rzeczy, nawet się tego nie domyślając.

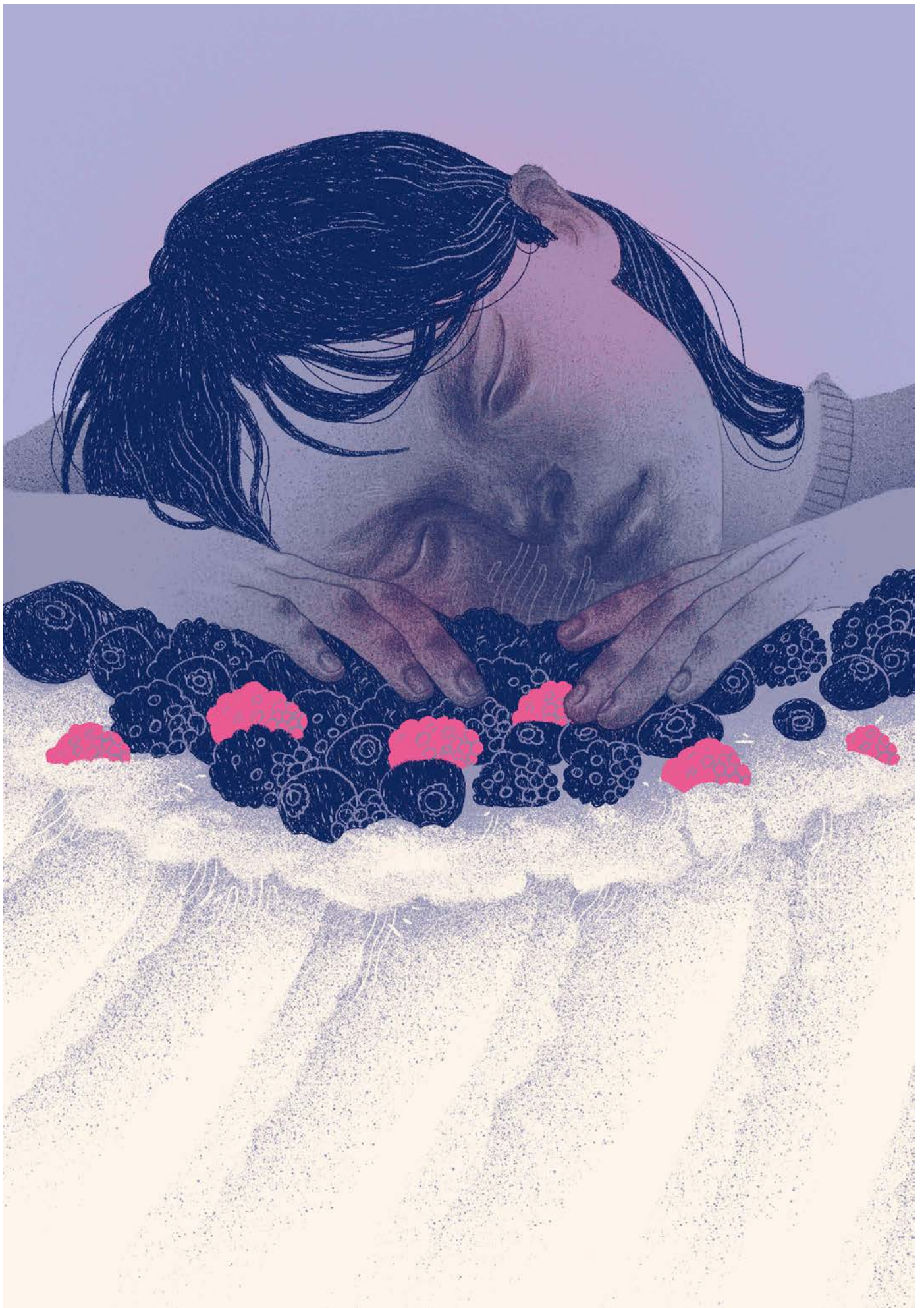
Mój Obcy zamieszkał we mnie w tym samym roku, w którym John Hurt i H. R. Giger przyszli na świat. W 1940, w drugim roku okupacji.

OBIADY. Jadałam je w poniedziałki. Wujstwo R. zapraszali mnie raz w tygodniu na obiad. Nie byli naprawdę moimi krewnymi, byli przyjaciółmi mamy. Mieszkali w wielkim mieszkaniu przy Polnej – kilka pokoi w amfiladzie, z wysokimi drzwiami. Otwierała mi służąca o imieniu Henryka i przez sznur pokoi prowadziła do jadalni. Patrzyła na mnie z pogardą, podejrzewała, że jestem Żydówką. Wchodziłam głównym wejściem, a ona musiała korzystać z kuchennego. Zdejmowałam płaszcz i rzucałam go jej bez słowa, jej płaszcz był w lepszym ga-

tunku, wiem, bo widziałam ją raz na ulicy w pelisie po ciotce. Już w przedpokoju witały mnie dwie jamniczki, wściekłe, niziutkie suki, czyhające na najmniejsze moje potknięcie. Wołano na nie Lala i Liska, ale ja nazywałam je w myślach Dżuma i Cholera. Pasowało to i do nich, i do zainteresowań wuja, który był bakteriologiem, profesorem medycyny. Wiedziałam, że podczas poprzedniej wojny zwalczył gdzieś epidemię cholery. Całowałam ciotkę w policzek, dygałam przed wujem i siałam na swoim miejscu, naprzeciwko ciotki, przy długim stole, nakrytym sztywnym od krochmalu, białym obrusem. Jedliśmy tylko we trójkę. Rozmawiałam z ciotką, odpowiadając na jej pytania, opowiadając o pokoju, który wynajmuję na mieście, nie wspominając, że jest to śmierdząca komórka na Pradze, tuż obok wspólnej ubikacji, zdając sprawę z moich postępów w nauce i dając się egzaminować we francuskim, jednocześnie czekając na pierwsze danie. Wreszcie Henryka przynosiła kieliszek wódki, który stawiała przed wujem, a potem, już dla wszystkich, zakąskę, maleńki kawaleczek czegoś. Czasem nawet nie wiedziałam czego, tak to było małe. Pasztet? Ryba? Tarta z czymkolwiek. Malusieńka babeczka z szarym, słonym nadzieniem. Kokilka z zapieczonym budyniem o mięsny smaku. Patrzyłam na ciotkę i z zestawu sztućców leżących przy moim talerzu wybierałam taki

sam egzemplarz. Powoli podnosiłam do ust mały widelczyk lub łyżeczkę. To była tortura. Zapach mnie obezwładniał, czasem wydawało mi się, że zaraz zemdleję. Żułam powoli i uśmiechałam się. Dżuma i Cholera patrzyły na mnie z głodną uwagą, gotowe wskoczyć na stół i zeżreć wszystko, gdyby biesiadnicy oddalili się choćby na moment. Czułyśmy to samo, wiedziały o tym.

Następnie była zupa w małych filiżankach z dwoma uszkami, najczęściej zupa krem z fasolką masła roztapiającego się na powierzchni i kilkoma listkami zielonej pietruszki. Jadałam łyżką dwa razy mniejszą niż normalna łyżka do zupy i powstrzymywałam się, aby nie podnieść filiżanki do ust i nie wychylić jej zawartości jednym łykiem. Potem drugie danie i kompot. Na szczęście kompot Henryka podawała w dzbanku i mogłam sobie dolewać, ile chciałam, słodki kompot, który wypełniał mi żołądek, bo odrobina kartofli, mięsa i surówki nie mogła tego zrobić. Nawet wuj raz zwrócił na mnie uwagę i polecił mi zbadać sobie poziom cukru, skoro tyle piję. – Bo ten kompot jest taki smaczny – powiedziałam. Ach, jeszcze symboliczny deser i herbata w filiżankach większych niż te do zupy. Po obiedzie ciotka siadała do fortepianu i grała Szopena. Wuj przeglądał jakieś papiery i robił notatki, a ja zamykałam oczy i chłonełam zapachy, które pozostały po obiedzie. Najpiękniejszy był za-



pach palonego masła. Ale zidentyfikowałam go dopiero po wielu latach.

— IMIENINY CIOTKI były 26 lipca. W roku 1943 roku tego dnia był poniedziałek, więc przyszedłam na obiad. Przyniosłam jej francuskie wydanie utworów Tansmana, które wygrzebałam na bazarze spod sterty gazet u jakiegoś bukinisty i, gdy się odwocił, schowałam pod płaszcz. Były naprawdę zniszczone, więc nie miałam wyrzutów sumienia. Nieśmiało wręczyłam ciotce wygniecione i naddarte nuty, a ona się rozpromieniła.

– O, Tansman...

– Ten żydowski pianista – burknął wuj.

– Może byś wieczorem... – zaczęła ciotka, ale wuj wszedł jej w słowo.

– Wieczorem zaprosiliśmy przyjaciół na przyjęcie imieninowe – zaznaczył, kończąc temat. Ciotka jednak ciągnęła niezręcznie:

– Zamówiłam białą pavlovą u Zagoździńskiego. Henryka przywiozła. Próbowalas kiedyś pavlovej?

– Na pewno nie próbowała – odpowiedział za mnie wuj. – I nie jest to konieczne. Jabłka są zdrowsze.

— WUJ MIAŁ RACJĘ, nie jadłam nigdy białej pavlovej, nie wiedziałam, że to beza z owocami i bitą śmietaną, prosty, a jednak wyszukany deser, leciutki i uroczy, wystarczy na bezową spódniczkę baleriny rzucić garść drobnych owoców i przełożyć je bitą śmietaną. Owoce granatu, maliny, jeżyny, poziomki, czarne jagody – to, co jest dostępne. Owoce jagodowe najlepiej świeże, zebrane tego samego dnia. I nie jest to trywialna, chrupka beza, w środku ma ciągnącą się, półstałą masę, która miejscami powinna być troszkę scukrzona.

Doskonale pamiętam tamten obiad, każde z dań. Babeczka z móżdżkiem, ulubione danie wuja. Francuska zupa cebulowa na masle z mikroskopijną grzanką z zapieczonym, ciągnącym się serem. Sztukamięs w sosie chrzanowym, tłuczone ziemniaki

i surówka z marchewki z sokiem cytrynowym i cukrem. Porcje jak na przyjęcie dla lalek. Deseru tego dnia nie było, bo Henryka musiała jeszcze wyjść po jakieś zakupy. Poszliśmy z ciotką do kuchni zrobić herbatę.

Na stoliku pod oknem stała patera na wysokiej nóżce, kryształowy kwiat z rozłożonymi płasko płatkami. Na przejrzystych płatkach rozsiadła się śnieżnobiała beza w śmietanowych falbankach, w koralach z błyszczących poziomek. Promienie południowego słońca przeświecały przez firankę i rozszczerzone przez kryształ spadały na stół okruchami tęczy.



– To biała pavlova – powiedziała ciotka uroczyście, jakby przedstawiała mi kogoś ważnego. – Piękna, prawda? To ciasto wymyślił jakiś australijski cukiernik na cześć Anny Pawłowej. Musiał zobaczyć, jak tańczy *Umierającego łabędzia* do muzyki Camille'a Saint-Saënsa. Widziałam ten jej taniec w kinie, w „Tygodniku Filmowym”, ale to nie to samo, co naprawdę. Dziś są też jej imieniny, więc jak zawsze zamówiłam białą pavlovą.

– Piękna – powiedziałam i na krótką chwilę mój głód zniknął, robiąc miejsce uczuciom innego rzędu. Bo jak zjeść coś tak pięknego?

– Zamiast poziomek powinny być owoce granatu. Gdy się je umiejętnie ułoży, wyglądają jak kolia z prawdziwych granatów. Granaty! Już wszyscy zapomnieli, że są takie owoce i takie kamienie. Zostały tylko granaty przydatne na wojnie – powiedziała ciotka i zaśmiała się.

— GDY WRÓCIŁYŚMY do jadalni, wciąż myślałam o białej pavlovej. Zateśkniłam do niej, jakbym się zakochała. Nie było Henryki, więc czułam się swobodnie. Dałam do zrozumienia, że muszę iść do ubikacji. Ubikacja była w korytarzu prowadzącym do wyjścia, ale ja skręciłam do kuchni. Stałam i patrzyłam, aż nagle zorientowałam się, że nie jestem sama. Po obu moich stronach, jak adiutantki, stały Dżuma i Cholera, gotowe do skoku, spięte, wygłodniałe wilczyce.

To przez nie rzuciłam się na białą pavlovą, jakby mój głód zmultiplikował się. Wzięłam leżącą obok srebrną łyżeczkę do tortu z rączką w kształcie węża i zabrałam się do jedzenia. Zaczęłam od góry. Najpierw pozarałam poziomki z bitą śmietaną. Nie próbowałam poziomek od trzech lat, zapomniałam, jak pachną, zapomniałam, że w ogóle istnieją. Potem zaczęłam wyjadać wnętrze bezy, ciągnącą się słodycz, i stałam się tą słodyczą. Było cicho i słonecznie. Czułam się wspaniale. Jakby w mojej głowie otworzyły się jakieś inne przestrzenie...

Nagle usłyszałam kroki i szcęk zamka od drzwi kuchennych, obrót klucza. To wracała Henryka. Wzięłam resztkę pavlovej w dłonie, rzuciłam sukrom na podłogę i popędziłam do wyjścia. Złapałam płaszcz, otworzyłam drzwi i uciekłam. Wyjście kuchenne było od drugiej strony, wychodziło się inną klatką schodową na małe podwórko. Ja wybiegłam głównym wyjściem wprost na Polną. Idąc ulicą, poczułam nagły skurcz żołądka. Złapałam się ogrodzenia i zaczęłam wymiotować. Biała pavlova smakowała mi tak samo jak wtedy, gdy ją jadłam. A może nawet lepiej, bo nie musiałam się spieszyć.

Kilka dni później Niemcy aresztowali mnie i wyładowałam w obozie. W Neubrandenburgu byłam jeszcze bardziej głodna. Czasem myślałam o białej pavlovej. Gdy przypominałam sobie, jak stoję na Polnej i rzygam, chciało mi się śmiać. Opowiadałam to dziewczynom i śmiałyśmy się razem. I wciąż pamiętałam jej słodycz, jej smak.

— PO WOJNIE wszystko się zmieniło. Byłam dorosła, choć do pełnoletności brakowało mi jeszcze kilku miesięcy. Znów, jak przed wojną, zamieszkałam w naszym starym mieszkaniu przy Narbutta, w moim dawnym pokoju. Ale teraz w tym pokoju mieszkała ze mną matka, a pozostałe trzy zajmowali obcy ludzie. Gdy wchodziłam rano do naszej kuchni, mówiłam „dzień dobry” sąsiadce w szlafroku, a czasem listonoszowi, który siedział przy stole i siorbał herbatę. Słońce zalewało wyszorowane deski podłogi, a ja czekałam uprzejmie, aż będę mogła zagotować sobie wodę na kawę. Na środku mojego pokoju stanęła szafa, dzieląc go na pół. Zaspiając w moim łóżku, które było już trochę dla mnie za krótkie, widziałam plecy szafy, które matka okleiła starymi plakatami reklamowymi. „Bonbony miętowe” – ten plakat lubiłam najbardziej. Nie wróciłam do szkoły. Zaczęłam pracować w cukierni Meringue na Pradze, utknęłam tam na długie lata.

Pewnego dnia przypominałam sobie o białej pavlovec. Ale kierownik Meringue nie znał tego deseru. Nikt go nie znał. Pojechałam do Zagoździńskiego na Wolę, cukiernia wciąż działała, ale sprzedawano tam tylko pączki, ciastka i zwykłe, drożdżowe ciasta. Kupiłam sobie pączka i wyszłam. Gdy wieczorem zostałam sama w cukierni, aby przygotować spody pod ciastka i posprzątać, zrobiłam bezę i zostawiłam w stygnącym piecu. Beza była dobra, ale to nie była biała pavlova. Zbyt krucha i nie dość biała, to nie mogła być ona. Raz na jakiś czas kupowałam jajka od bab pod bazarem i próbowałam dalej. Kierownik patrzył na te moje próby przez palce. Aż wreszcie, 10 lipca 1950 roku, wiedziałam, że beza jest właśnie taka, jaka powinna być. Wyglądała jak zatrzymana w połowie tanecznego pas spieniona falbanami spódniczka baletnicy. Nie musiałam jej próbować. Czułam, że w środku jest idealna. Pobiegłam na bazar, pamiętam dokładnie ten poranek. Była szósta rano, czuć już było upał. Kupiłam kwaterkę słodkiej śmietanki. Jakiś chłopiec sprzedawał poziomki, wzięłam cały słoik. Gdy kierownik przyszedł do pracy, pokazałam mu białą pavlovę. Próbowali wszyscy, daliśmy nawet sąsiadom, ale ja byłam zbyt zdenerwowana, aby jeść. Biała pavlova weszła do asortymentu ciast sprzedawanych w Meringue. Musiałam zapisać

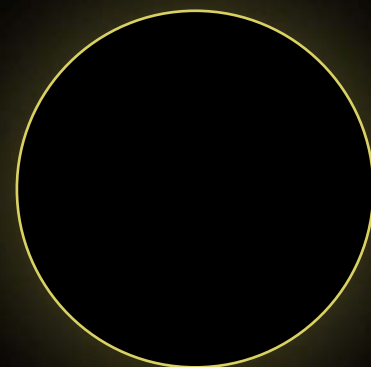
przepis, kierownik ustalił cenę. To był najdroższy deser, ale zniknął momentalnie. Od czerwca do września robiłam go ze świeżymi owocami, zimą ozdabiałam konfiturami. Moja biała pavlova zaczęła być znana, w niedzielę z całej Warszawy przyjeżdżano do nas na świąteczny deser.

— TERAZ MÓJ BLOG nazywa się Pavlova. W nagłówku ma zdjęcie Anny Pawłowej w kostiumie łabędzia. Niektórym się wydaje, że to ja nazywam się Anna Pawłowa, pisząc do mnie „Pani Anno, czy mogę do tych ciasteczek użyć razowej mąki?”. Albo „Aniu, ten tort wygląda wspaniale i przesmacznie, muszę go kiedyś zrobić!”. Przeczytałam nawet na jakimś portalu, że byłam znaną baletnicą, ale po wypadku nie mogę tańczyć i zajęłam się cukiernictwem. Lubię takie wiadomości, sprawiają, że staję się bardziej interesująca. Bo co ciekawego jest w kobiecie, która ponad pół wieku przepracowała w cukierni, a teraz prowadzi bloga o słodkich wypiekach?

Mieszkam wciąż w naszym przedwojennym mieszkaniu, teraz już sama. Sypiam w moim starym pokoju, w łóżku zrobionym na miarę, gdy miałam dwanaście lat. Już nie jest za krótkie, choć jeszcze dotykam stopami krawędzi. Szafa ciągle stoi na środku pokoju, budzę się i patrzę na plakat reklamujący „Amerykańskie bonbony miętowe, na sposób Huylera w Nowym Jorku, Wiktora Schmida i Synów w Wiedniu 4/2”. Wygląda jak nowy, bo został odrestaurowany i oprawiony. Czasem, zanim wstanę, zastanawiam się, co znaczą te liczby, 4/2.

Pozostałe pokoje są puste i przestronne, z lśniącym parkietem, w którym odbija się światło. W jednym mam atelier fotograficzne, w drugim, na biurku mojego ojca, stoi komputer. Mam nowoczesną, profesjonalną kuchnię, z niklowanymi urządzeniami, lepszą niż tamta w Meringue. Piekę, robię desery, fotografuję, piszę. Wieczorem idę na spacer. Patrzę na smartwatch, który mam na rękę przez cały dzień, i uzupełniam liczbę kroków dzielących mnie od magicznych dziesięciu tysięcy, krążąc po uliczkach wokół kina Iluzjon. Nawet zaraza nie zmieniła nic w moim życiu. Tyle tylko, że na ulicach jest dużo ciszej i zupełnie pusto, za to na bloga mam kilka razy więcej wejść niż zazwyczaj.

Zakopane słońce



MULTIMEDIALNA
OPOWIEŚĆ
O ENERGII

film
słuchowisko
strona www



Dwa dni temu na skwerze obok kina podeszło do mnie dwoje dzieciaków w policyjnych mundurach, jasnowłosa, pyzata dziewczyna i drobny chłopak o małowłoszczkowej buzi.

– Wie pani, że jest epidemia, prawda? Nie powinna pani wychodzić z domu – zwróciła się do mnie dziewczyna.

– Wyprowadzam psy. Gdzieś pobiegły, ale zaraz wrócą. To dwie jamniczki, nazywają się Dżuma i Cholera. O, są tam – wykonałam nieokreślony ruch ręką, a policjanci potrzyli po sobie i odeszli.

Przypomniał mi się wtedy wuj R. i pomyślałam o epidemii cholery, z którą walczyłam podczas pierwszej wojny. Nigdy go o to nie zapytałam.

—
DZIESIĄTKI, setki razy robiłam białą pavlovą. Ale przez dwadzieścia lat ani razu jej nie spróbowałam. Aż do 26 lipca 1971 roku.

—
DLACZEGO nie chcesz odwiedzić wujostwa? Mogłabyś im zanieść to swoje bezowe ciasto. Na pewno by im smakowało – mówiła co roku matka, gdy nadchodziły imieniny ciotki. – Pomagali ci w czasie wojny, chodziłaś do nich na obiady – przypominała.

Gdy to nie skutkowało, chwyciła za broń grubszego kalibru:

– Wiedzieli, że twój ojciec był Żydem. Narazili się, przyjmując cię w swoim domu.

– Ty wolałaś się nie narażać – mówiłam, co ucinając dyskusję.

—
NA POGRZEBIE WUJA nie podeszłam do ciotki. Myślałam, że trumna będzie dłuższa, wuj był bardzo wysoki. Ciotka była mała i stara. Nie widziałam jej wyraźnie, bo miała kapełusz z woalką.

– A gdzie są jamniczki? – zapytałam faceta, który stał obok mnie. Miał wielkie okulary i siwą czuprynę.

Facet zaśmiał się.

– Lala i Liska? Miałyby dziś po dwadzieścia pięć lat – powiedział.

—
MUSIAŁO MINĄĆ jeszcze kilka lat, zanim odwiedziłam ciotkę. Zrobiłam to, bo znów były jej imieniny, a moja matka już nie żyła. Ze

zmarłymi trudniej dyskutować niż z żywymi. Jej nowy adres znalazłam w notesie matki. Przeszłam się tamtą ulicą któregoś lipcowego wieczora, aby wybać teren. Ciotka mieszkała na Żoliborzu, na parterze trzypiętrowego spółdzielczego bloku. Zobaczyłam ją przez okno, siedziała przy fortepianie pod wielkim, kryształowym żyrandolem, świecącym z daleka jak transatlantyk. To był żyrandol z salonu wujostwa. Grała. Było ciepło i miała otwarte okna. W ogródku pod jej balkonem rosły krzewy róż z dużymi, białymi kwiatami. Róże pachniały. Muzyka słała się po ulicy. To na pewno nie był Szopen.

—
IMIENINY CIOTKI wypadły w poniedziałek, tak samo jak wtedy, podczas wojny. Szłam ulicą Krasińskiego, niosąc duże, kartonowe pudełko z Meringue. Na różnych krzewach pod oknem ciotki nie było już ani jednej róży, zostało tylko kilka pąków. Zadzwoeniłam do jej drzwi dokładnie o siedemnastej, w porze przedwojennego podwieczorku. Nie wydawała się specjalnie zdziwiona moją wizytą. Miała na sobie niebieską, wełnianą suknię i granatowe, znoszone pantofle. Pamiętałam tę suknię, kiedyś często zasiadała w niej do obiadu. Była starą, niziutką panią ze starannie ułożonymi siwymi włosami, ale w gruncie rzeczy się nie zmieniła. Podeszłyśmy do okna i pokazała mi ogołoceny z kwiatów różany ogródek.

– Co roku w nocy przed moimi imieninami ktoś kradnie moje róże. Może jego żona lub matka też ma na imię Anna – powiedziała.

Meble, stłoczone w niedużym pokoju, pochodziły z mieszkania wujostwa na Polnej. Nad kanapą wisiał obraz z aniołami o tęczyowych skrzydłach, zawsze mi się podobał, pamiętałam nawet nazwisko malarza, Antoni Gawiński. Na stole leżała sterta gazet i książek, porcelanowy półmisek wypełniony pudełeczkami lekarstw, cukierniczka, jakieś bibeloty. Fortepian wydawał się ogromny i nie

na miejscu, jak czarny, wielki samochód, który niespodziewanie wjechał do salonu.

– Zjemy coś – powiedziała ciotka.

Odruchowo spojrzałam na drzwi, spodziewając się Henryki z tacą.

Ale Henryki nie było. Poszłyśmy do kuchni, małej i zabałaganionej.

Z kamiennego garnka ciotka wyjęła kostkę masła i chyba półkilowy kawałek żółtego sera. Na kuchennym blacie stała butelka wina Gellala, otworzyłam ją i razem z bułką paryską zaniosiłam do pokoju. Ciotka zrobiła trochę miejsca na stole, z serwantki wyjęła kieliszki, talerze, srebrne sztuce. Piłyśmy wino i rozmawialiśmy. Pod koniec butelki opowiedziałam jej o mojej pracy w cukierni. Nie zapytała, dlaczego nie poszłam na architekturę, jak kiedyś planowałam. Otworzyła kartonowe pudełko, które przyniosłam, i aż krzyknęła:

– Biała pavlova! Jaka wielka! Przepiękna! Poziomki, już są poziomki?

– Są. Już od miesiąca.

– A pamiętasz tamtą pavlovą, którą zjadły psy? Do tej pory się zastanawiam, jak te jamnice dostały się na stół. Pamiętasz?

– Pamiętam, ciotciu – powiedziałam.

– Wyjmij z serwantki kryształową patelnię, proszę. To prawdziwy cud, że psy jej nie zbiły.

To wtedy drugi raz w życiu jadłam białą pavlovą. Nie zawiodłam się. Naprawdę byłam mistrzynią.

Potem ciotka usiadła do fortepianu.

– Zagram ci *Karnawał zwierząt* Saint-Saënsa. Najbardziej lubię *Łabędzia* – powiedziała.

—
OSTRE DŹWIĘKI siekały na kawałki długie, równoległe smugi słońca padające na wypastowaną podłogę, powietrze było słodkie i gęste. Ciotka grała zatopiona w sobie, od czasu do czasu unosiła głowę i rzucała mi rozbawione spojrzenie. Przysięgłabym, że chwilami znów była młoda. Fortepian stał się biały jak śnieg, lśnił jak lodowiec, ale wcale mnie to nie dziwiło. Srebrną łopatką z rączką w kształcie węża nakładałam sobie raz za razem trójkątne kawałki pavlowej. Poziomki, bita śmietana, beza, poziomki, beza... Poziomki pachniały upalnym latem, a ja byłam szczęśliwa. Wreszcie nie czułam głodu.

POEZJA

Pobył mój taki piskliwy w nieustannym głosie

KRYSTYNA MIŁOBĘDZKA

—

To, co zasiałam: teraz boli wszędzie przede mną. To, co pła-
kałam: coraz więcej pustych krzeseł, moje wysokie do ma-
my na mleku puste. To, co osiadłam: to zabrane zwierzętom,
to zabrane roślinom, huczna spiżarnia a wszystkiego mało
żeby dojść smaku. To, co dorosłam: dziecinnieje, coraz
innym szczebiotem zbywa. To, co płynęłam, te dźwięki.

KRYSTYNA MIŁOBĘDZKA

(ur. 1932), poetka, dramaturżka, doktorka nauk humanistycznych. Debiutowała w 1960 roku cyklem *Anaglify*, pierwszy tom poetycki *Pokrewne* wydała w 1970 roku. Opublikowała m.in.: *Dom, pokarmy* (1975), *Wykaz treści* (1984), *Pamiętam* (1992), *Imię słowy* (2000), *Po krzyku* (2004), *Zbierane* (2006), *W widnokręgu odmieńca* (2008), *Gubione* (2008), *Na wysokiej górze*, il. Iwona Chmielewska (2017) i *Spis z natury* (2019).

Ocali nas nowy, lewicowy populizm

z AGNIESZKĄ GRAFF

rozmawia KAROLINA LEWESTAM

ODPOWIEDZIĄ NA PRAWICOWY POPULIZM nie może być powrót do naszej świetlanej, liberalnej przeszłości, w której pralka sama pierze, sprzęta nam jedna pani, a lud to mohery. Potrzebujemy jakiegoś rodzaju nasyconej emocjonalnie lewicowości.

Agnieszka Graff zniknęła. Gdzie byłaś?

Schowałam się. Schowałam się świadomie – miałam trudny czas w życiu, osobiście i zdrowotnie. Nie mogłam udawać, że jest git i funkcjonować w mediach, zgodnie z dotychczasowym scenariuszem, jako „feministka-optimistka”. Nie chciałam też publicznie opowiadać o traumach i chorobach. Kultura zwierzeń, publiczna terapia – to nie moja bajka. Pokazuję się publicznie wtedy, gdy mam energię i coś do powiedzenia. Teraz znowu mam. Tylko optymizmu dużo mniej niż kiedyś, więcej wokół widzę komplikacji i groźnych zjawisk.

Na przykład ideologię LGBT?

Wcześniej znaną jako „ideologia gender”. Właśnie razem z Elżbietą Korolczuk skończyłyśmy książkę o antygenderyzmie, czyli walce z tą ideologią.

Skąd ten temat?

W moim przypadku historia zaczęła się w 2013 roku. Zostałam zaproszona przez dominikanów na debatę o gender. Pomyślałam, że to ciekawy pomysł. Obiecywali opiekę nad dzieckiem, a ja wtedy miałam czterolatka. W takim czasie to jest dosyć poważna oferta, człowiek w domu odchodzi od zmysłów. Wtedy pisałam *Matkę*

feministkę, książkę, w której próbowałam połączyć jakoś feminizm z macierzyństwem, i miałam przecucie, że katolicy mogą wiedzieć o opiece nad dziećmi coś, czego „lewacy” nie wiedzą. Poszłam więc do kościoła Dominikanów w Warszawie. Była dość duża publiczność, ciekawe kobiety o różnych poglądach i świetny ojciec dominikanin. Oni naprawdę chcieli prowadzić dyskusję. Jakies dziesięć minut po rozpoczęciu grupa młodych mężczyzn wstała, podnosząc transparent z napisem „Gender = 666”, zaczęli krzyczeć, po czym rzucili bombę.

Jak to: bombę?!

Potoczyli po posadzce coś takiego, co bardzo głośno grzechotało i potwornie dymiło. Miałam poczucie zupełnego odrealnienia, bałam się o synka. Z kościoła nas ewakuowano. Przyjechała policja. Debatę oczywiście się nie odbyła. I wtedy po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że to po prostu nie jest już debata, to coś innego.

Wojna?

W ich mniemaniu tak – w końcu przynieśli bombę. W mniemaniu Klementyny Suchanow, która napisała książkę *To jest wojna* – też. Ale ja jestem podejrzliwa wobec tej metafory. Bo „wojna z gender” czy „wojna kulturowa” to oczywiście są metafory. Polaryzacja jest ogromna, ale nikt jeszcze nie strzela i nikt nikomu jeszcze realnie gardła w tej sprawie nie poderznął.

Jak duży zakres ma ten... konflikt?

W 2014 roku trafiłyśmy z Elą Korolczuk do międzynarodowej grupy badawczej zajmującej się antygendery-

DR HAB.

AGNIESZKA GRAFF (ur. 1970), profesorka w Ośrodku Studiów Amerykańskich UW, członkini Rady Kongresu Kobiet Polskich, współzałożycielka Porozumienia Kobiet 8 Marca. Autorka esejów i książek o prawach kobiet i płci w polskim dyskursie publicznym: *Świat bez kobiet* (2001), *Rykoszetem* (2008), *Magma* (2011) i *Matka feministka* (2014). Jest felietonistką „Wysokich Obcasów”.



zmem. I okazało się, że to, co się dzieje u nas, ma miejsce też w Chorwacji, na Węgrzech, w Austrii, Słowenii... A przede wszystkim w Rosji. Potem obudziła się Brazylia i wiele innych krajów. W świeckich Czechach jest tego mniej i, o dziwo, w Irlandii też.

Tego, czyli...? Co to takiego ten antygenderyzm?

Rozróżnijmy dwie rzeczy: ruch antygenderowy i myśl antygenderową, czyli opowieść antygenderystów o świecie, ideologię. Ta opowieść ma różne twarze, ale mówią w skrócie: to mocno pesymistyczna historia o upadku moralnym Zachodu i kolonizacji prostego ludu całego świata przez zepsuty genderem Zachód. Zdaniem antygenderystów istnieje coś takiego jak spójna „teoria gender”, która głosi, że płeć można sobie dowolnie wybierać i zmieniać. To bzdura nawet w odniesieniu do najbardziej radykalnych teorii gender, ale oni propagują właśnie takie rozumienie „genderyzmu”, celowo go demonizują. Jeśli szukasz podstawowych tekstów źródłowych, to przeczytaj na przykład list Benedykta XVI do kurii rzymskiej z grudnia 2012 roku. Benedykt ostrzega przed filozofią Simone de Beauvoir, w której „nikt nie rodzi się kobietą”, podczas gdy Bóg, jak wiadomo, „mężczyzną i kobietą stworzył ich”. Pomysł, że płeć jest konstruktem kulturowym, zagraża więc „porządkowi naturalnemu”. I oni chcą ten porządek przywrócić. Najśłynniejsza książka proponująca ten dyskurs to *Globalna rewolucja seksualna* Gabriele Kuby. Rzecz ma aspiracje filozoficzno-historyczne i traktuje o spisku postoświeceniowych elit, mającym rzekomo początek w rewolucji francuskiej. Spiskowali Jean-Jacques Rousseau, Auguste Comte, Friedrich Nietzsche, Zygmunt Freud, Alfred Kinsey, postmoderniści... Feminizm i teoria gender Judith Butler to zaledwie końcówka tej historii. W Polsce zajęła się tematem redaktorka naczelna portalu wPolityce.pl, publicystka Marzena Nykiel – polecam jej *Pułapkę gender*. Ale trzeba mieć mocne nerwy. U niej w spisku biorą udział byli szpiedzy sowieccy, firmy farmaceutyczne i oczywiście feministki. W skrócie: antygenderysty są przekonani, że dość nieokreślone światowe elity, które mają realny wpływ na rzeczywistość, na przykład dzięki infiltracji organizacji międzynarodowych, kolonizują tradycyjne społeczeństwa za pomocą marksizmu kulturowego. Oczywiście ta spiskowa opowieść nie byłaby tak interesująca, gdyby nie była fantastycznie nośna – udało się nią zainfekować ludzi zarówno na polskiej, jak i na francuskiej wsi. W Afryce, co ciekawe, ta metafora nie bardzo chwyta, pewnie dlatego, że oni wiedzą, co to jest prawdziwy kolonializm.

Tak wygląda myśl antygenderowa. A sam ruch?

Tworzą go różne współpracujące ze sobą ultrakonserwatywne organizacje. Najważniejsze są trzy sieci: pierwsza to Światowy Kongres Rodzin. Druga – Tradycja, Rodzina

i Własność (TFP), brazylijska organizacja, z którą związane jest polskie Towarzystwo imienia Piotra Skargi, ale też znane nam Ordo Iuris. I wreszcie Agenda Europe, o której ostatnio sporo się mówi w polskich mediach, bo ktoś odkrył, że chcą nie tylko zakazać aborcji oraz małżeństw osób tej samej płci, ale też zlikwidować rozwody. Jest jeszcze ważny portal CitizenGo, na którym zbierane są podpisy pod różnymi petycjami. Wszystko to składa się na duży, międzynarodowy ruch społeczny, z centralami, do których spływają gigantyczne pieniądze. Ruch ten nie zawsze jest otwarcie religijny, ale jego centrum stanowią konserwatywne odłamy chrześcijaństwa: katolicyzmu i protestantyzmu. Watykan sam poniekąd uruchomił ten proces, gdy w latach 90. protestował przeciw zastosowaniu kategorii „gender” w dokumentach Organizacji Narodów Zjednoczonych, ale dziś to w ogóle nie jest ruch sterowany przez Watykan, dawno już wymknął mu się spod kontroli. Nie można mówić, że to fundamentaliści finansowani przez Kreml, bo za to grozi proces, ale oczywiście są to fundamentaliści i są finansowani częściowo przez rosyjskich oligarchów, europejskich arystokratów, a także różnych ultrakonserwatywnych milionerów z Wielkiej Brytanii i Meksyku.

Zaczynam się dławić herbatą. To wszystko brzmi jak szalona teoria spiskowa.

Muszę przyznać, że podczas badań faktycznie w pewnym momencie zaczęłam widzieć spisek – latyfundystyczno-moskiewski. W tej chwili mam do tego większy dystans. Uważam wręcz, że istnieje pewna zabawna symetria w fakcie, że oni widzą spisek w nas, a my w nich. Nasz spisek nazywa się „demokracja liberalna” i ma jawne finanse. To są po prostu skrajnie niekompatybilne światopoglądy i każdej ze stron trudno zrozumieć, jak ta druga może w dobrej wierze, bez żadnych podejrzanych motywów, wkładać tyle energii w promowanie czegoś równie dziwnego i strasznego.

A dialog pomiędzy dwiema grupami spiskowców nie jest możliwy?

Rzecz w tym, że nie ma już przestrzeni, w której te dwa światy mogłyby się spotkać. Długo liczyłam na to, że pojawi się feminizm katolicki – on mógłby reformować Kościół, buntować wierzące kobiety, ale też tonować świecki feminizm, który bywa nieznośnie antyreligijny. Nic takiego się nie pojawiło, słychać pojedyncze głosy, takie jak ten Zuzanny Radzik, ale nie istnieje żaden ruch. Dominikanie już nas nie zaproszą, myślę, że się boją. W Polsce postępowy katolicyzm stanowi raczej margines, zastąpił go ten ultrakonserwatywny, przed-soborowy... Mnie zresztą bardzo ciekawi, jak to się stało, że Kościół stracił panowanie nad swoimi ultrakonserwatywnymi. Bo jeszcze Jan Paweł II miał dość siły, żeby ekskomunikować lefebrystów. Wyznaczając gra-



nice tego, co będzie się nazywało katolicyzmem, powiedział: tym panom, którzy negują Holocaust i chcą modlić się wyłącznie po łacinie, mówimy nie. I kardynał Marcel Lefèbvre poszedł w odstawkę. Do Jana Pawła II mam wiele pretensji, ale tę decyzję bardzo szanuję. Benedykt XVI znowu jednak wpuścił ultrakonserwatystów do Kościoła – moim zdaniem dyskurs antygenderowy jest w jakimś stopniu powtórką z katolicyzmu przedso-borowego, tyle że gender zastąpił Żydów w roli demonicznego nośnika modernizacji. A z Franciszkiem jest sprawa złożona: z jednej strony to wielki reformator, który stawia opór ultrakonserwatystom w Kościele, tępi pedofilię, mówi o ekologii i zachęca nawet do szacunku wobec gejów. Z drugiej strony, w kwestii kapłaństwa kobiet jest nieugięty, podobnie w kwestii aborcji. Jego postępowość jest bardzo wybiórcza i spraw płci po prostu nie obejmuje.

Mnie z kolei ciekawi, jak to się dzieje, że takie ideologie wchodzą w swego rodzaju sojusz z władzą. Bo czy Jarosław Kaczyński naprawdę jest zagorzałym antygenderystą?

Nie, sam nigdy na przykład nie był za dalszym ograniczaniem prawa do aborcji. On jest cynikiem. Teraz po prostu jest dobry moment dla takich narracji. Na Zachodzie Europy powstało jakiś czas temu dużo partii antyelitarnych – jak Front Narodowy Marine Le Pen, Alternatywa dla Niemiec (AfD) czy Szwedzcy Demokraci. W USA tę funkcję pełni trumpizm, w Europie Wschodniej Fidesz czy właśnie PiS. Osią ich przekazu jest obrona ludu – używam tutaj tego pojęcia, bo właśnie „lud”, czyli *populus*, stanowi źródłosłów terminu „populizm” – przed elitami, przede wszystkim dlatego, że ludu jest z definicji więcej niż elit. Muszą więc kogoś obsadzić w roli tych elit, jakoś te elity wyraziście nazwać. Zauważ, że w naszych czasach rasizm jest już dość mocno skompromitowany; żadna z tych partii nie wspomina głośno o wrogach rasowych. Kryzys uchodźczy dostarczył paliwa na jeden cykl wyborczy. Gender i LGBT spadają tu jak z nieba, można je przedstawić jako narzędzie kosmopolitycznych i zdegenerowanych elit. Z politycznego punktu widzenia to zamiennik rasizmu.

A kto jest po drugiej stronie? Lewica? Liberałowie? Progresywiści?

Ci, którzy wierzą w takie wartości, jak demokracja liberalna, prawa człowieka i, nazwijmy to roboczo, „postęp moralny”. Innymi słowy, spadkobiercy oświecenia. Nawiasem mówiąc, uważam, że krytyka oświecenia, czyli negowanie rozumu i sprowadzanie wszystkiego do relacji władzy, zgubiła lewicę. Należało się oświecenia trzymać, z tą jego wiarą w rozum, w człowieka. Oczywiście oświeceniowość to pewna konstrukcja, ale konstrukcja dobra, ważna i pozytywna.

Isaiah Berlin w eseju *Dwie koncepcje wolności* pisze, że człowiek naprawdę cywilizowany to ktoś, kto rozumie, że jego wartości są przypadkowe i relatywne, ale potrafi przy nich niezachwianie stać. I my powinniśmy tak niezachwianie stać właśnie przy oświeceniu.

Otóż to. Wiemy, że to konstrukt – i stoimy przy nim wiernie, bo ten konstrukt działa, bo to są nasze wartości. To samo można powiedzieć o uniwersalnych prawach człowieka. Mnie martwi skrajny relatywizm kulturowy. Przeszłam głęboką fascynację nim, ale teraz widzę, że jak rzucimy się w niego na główkę, to możemy bardzo łatwo popaść w rozmaite dogmatyzmy, bo tracimy punkt odniesienia. Nigdy nie będziesz wiedziała, kiedy powiedzieć sobie: stop, zaczynasz snuć nierealne dywagacje, wyleciałaś za daleko w kosmos.

I wtedy – wracając do kwestii domniemanej wojny – o wiele łatwiej z tobą walczyć?

Pięknie to opisała Nancy Fraser. Mówi, że myśmy się zajmowali postrukturalistyczną analizą popkultury, a w tym czasie prawica przejmowała władzę nad światem i budowała neoliberalną gospodarkę. Dodałabym, że kiedy my pograżamy się w sporach o takie kwestie, jak – na przykład – czy pisarz Janusz Rudnicki mógł powiedzieć „kurwa”, czy też nie, ultrakonserwatyści budują świetnie zorganizowane sieci i przejmują ważne pozycje w państwie. A przy tym, co bardzo ciekawe, podbierają nam język.

I nagle okazuje się, że ultrakatolicy są „opresjonowaną mniejszością”, a ideologia LGBT chce ich „kolonizować”?

...a aborcja, żeby przytoczyć Kaję Godek, to dyskryminacja niepełnosprawnych. W Stanach ruchy antyaborcyjne podczepiły się, uwaga, pod dyskurs antyniewolniczy. I nagle całkowity zakaz aborcji nie jest już fundamentem religijnym, ale ruchem walczącym o prawa obywatelskie, abolicjonizmem. Oni to robią bardzo świadomie i systematycznie.

Nie męczy cię czasami ten wszędobylski manicheizm? Wszyscy mówią o jakimś dobru, które jest atakowane przez jakieś zło. Wszędzie śmiertelne zagrożenia, nadchodzące końce świata...

Mnie ten manicheizm z jednej strony przestrasza, a z drugiej – fascynuje. Pisanie tej książki to była niezwykła przygoda. Uważam też, że ten ultrakatolicki dogmatyzm, zwłaszcza w połączeniu z populistycznym pragmatyzmem, stanowi realne zagrożenie dla demokracji. Ale przede wszystkim dla kobiet i mniejszości seksualnych. Oni wymiotą nasze prawa, zanim się obejrzymy, już to robią. Nie jestem jednak wrogiem religii jako takiej. Wiem, że może istnieć coś takiego, jak postępowy, humanistyczny katolicyzm, bo byłam wychowana przez Klub Inteligencji Katolickiej. Tam się dyskutowało. Było miejsce na wątpliwości.

Kiedy feminizm zostaje przejęty przez neoliberalizm i zaczyna powtarzać, że pracę trzeba oddzielić od opieki, bo pracodawca nie może ponosić jej kosztów, kobiety uciekają na prawą stronę.

Dlaczego więc ta dogmatyczna wersja katolicyzmu wygrywa?

To pytanie do Stanisława Obirka, nie do mnie, on o tym napisał kilka książek. Kościół odwrócił się od dialogu, od wielkiej soborowej zmiany, na którą sam się zdecydował w latach 60. W Stanach Zjednoczonych w tym samym okresie skostniały niektóre odłamy protestantyzmu – okopały się na pozycjach konserwatywnych. Ale jest też wina po naszej stronie – głęboki kryzys lewicy, która w latach 90. połączyła bakcyla neoliberalizmu i przestała walczyć o sprawiedliwość społeczną. Ludzie zwrócili się więc ku konserwatyzmowi, bo one przynajmniej obiecują bezpieczeństwo. Ale jest też kryzys intelektualny, o którym pisze Mark Lilla, brak wizji. Lewica intelektualna w ciągu ostatnich dwudziestu lat okropnie sobie zaszkodziła tym, że dominowały w niej prądy intelektualne, zajmujące się głównie dzieleniem włosów na czworo i przyglądaniem się z piątego metapoziomu, co jeszcze jest konstruktem kulturowym. Spory są dobre i płodne, ale lewica spierała się, zamiast mówić o wartościach, o sprawiedliwości, zamiast zastanawiać się, jak skonstruować sposób myślenia, który będzie dla ludzi porywający. To się ostatnio zmienia – zaczęło się dużo mówić o afektach i emocjach w polityce i w życiu społecznym. Szkoda, że często nieznośnie hermetycznym językiem.

Innymi słowy, uważasz, że lewica jest za mało populistyczna?

Tak. Nasz ratunek to lewicowy populizm.

Populizm jakoś nie brzmi dumnie.

Populizm ma złą prasę, więc doprecyzujmy za Chantal Mouffe: populizm polega na przedstawieniu sporu politycznego jako sytuacji, gdzie po jednej stronie są elity, a po drugiej lud. I te elity są złe, uzurpatorskie, niedemokratycznie wybrane, aroganckie i nadmiernie uprzywilejowane. Lud natomiast jest autentyczny, szczerzy, prawdziwy. Druga cecha populizmu to angażowanie emocji do polityki.

Czyli lewica powinna stanąć po stronie ludu przeciwko elitom – brzmi rozsądnie.

Tak. I takie podejście ma długą tradycję. W końcu to lewica jest za sprawiedliwością.

Problem w tym, że w tej chwili dużo się mówi o lewicy kanapowej, o tym, że to lewica jest elitą – zamożną, kosmopolityczną, wykształconą.

Trochę tak bywa, ale takie postrzeganie jest też efektem prawicowej propagandy. Ona działa, daliśmy sobie wzmówić, że to prawda. Feminizm w Polsce latami się usprawiedliwiał, kajał za tę rzekomą elitarność, przeciwstawiano nam „zwykłe kobiety”, a my nie bar-

dzo umiałyśmy się przed tym bronić. Ale dominacja elit będzie różnie opisywana w zależności od tego, czy masz do czynienia z lewicowym, czy z prawicowym populizmem. Lewicowy populizm powie, że problemem „ludu” jest wyzysk ekonomiczny i pogłębienie różnic społecznych. To prawda, nie trzeba czytać Thomasa Piketty’ego, żeby to wiedzieć. Kiedy się porównuje różnice między zarobkami menedżerów i robotników w latach 50. i współcześnie, to człowiekowi szczęka opada. Europa i Stany Zjednoczone w ciągu ostatniego półwiecza odeszły od fordowskiego układu ekonomicznego, w którym pomiędzy klasą pracującą a elitami ekonomicznymi istniał rodzaj chwiejnego kompromisu. Ten kompromis został zerwany w latach 80. Nam się wydawało, że zmierzamy ku liberalnej przyszłości, a tymczasem zmierzaliśmy do systemu oligarchicznego. Taka właśnie jest opowieść populizmu lewicowego. I ona jest prawdziwa, zgadzam się z nią. Rzecz w tym, że lewica nie potrafi tą narracją zarazić klasy ludowej, która głosuje na PiS. Zgadzam się też z inną opowieścią populistyczną, tą feministyczną, która mówi, że kobietom różne elity chcą ustawiać życie; elity, których nikt nie wybrał.

A już na pewno nie do tego.

Otóż to. Taką opowieścią, która okazała się w Polsce niesłychanie nośna, była opowieść o doktorze Bogdanie Chazanie. Nie mówiła o konflikcie moralnym pomiędzy katolickim lekarzem a świecką kobietą. To była opowieść o okrutniku i fundamentaliście, który niszczy życie zwyczajnej kobiecie. Ten przymusowy poród dziecka, które potwornie cierpiało, a po kilku godzinach umarło... to było coś takiego, że człowiekowi flaki się przewracały. Prawie wszyscy widzieli, że Chazan przeholował, że ktoś z pozycji władzy niszczy życie ludziom, którzy są tej władzy pozbawieni. On był częścią elity, męskiej elity, która ma stanowiska i władzę. W szpitalach, w rządzie, w episkopacie. A po drugiej stronie miałaś tę nieszczęsną parę, która opowiada o swoim koszmarze. Na takiej emocji, na emocji oburzenia ludu przeciwko elitom, jedzie populistyczny zryw. Pamiętasz mem Marty Frej z episkopatem i napisem „O kobietach wiemy wszystko”? Ona tę emocję świetnie uchwyciła. Ten kobiecy wkurw, absolutną niezgodę na facetów, którzy nam mówią, jak mamy żyć.

Walka toczy się więc o to, kogo uznamy za elitę?

Właśnie tak. Jest coś takiego jak populistyczny moment: to ta chwila, kiedy demokracja liberalna z jej racjonalną debatą publiczną przestaje nieść. Prawicowy populizm, czyli narracja antygenderowa, mówi teraz szybko: Drogi ludzie, jesteś konserwatywny, tradycyjny, składasz się z prawdziwych kobiet, prawdziwych mężczyzn, masz córki i synów. Lubisz ugotować sobie pierogi, a tu przychodzi jakiś transwestyta, transseksualista czy inny drag

Na tym polega problem współczesnej lewicy – nie potrafimy rozmawiać z głoszącym na PiS człowiekiem spoza wielkiego miasta jak równy z równym, nie umiemy zbudować wzajemnego zaufania.

queen i chce ci syna siłą wsadzić w kieckę. Korzystając z twojej naiwności, mówi ci, że to jest demokracja, a tymczasem to kolonializm i zniewolenie. Kto za to płaci? George Soros. I to chwyta, bo trafiło właśnie na „populistyczny moment” – ale to jest też dobry moment dla innego populizmu, lewicowego, feministycznego. I był w Polsce jeden ruch społeczny, który miał ten potencjał.

Czarny protest?

Tak. Strajk kobiet. Czarne protesty to był zwycięski zryw setek tysięcy polskich kobiet – i mężczyzn sojuszników. Udało nam się wtedy postawić tamę populistycznemu sojuszowi ultraradykalnych katolików z nacjonalistami. Ale to był chyba jedyny taki przypadek. I może trzeba sobie uczciwie powiedzieć, że nie chodziło o aborcję. Aborcja jest i tak w Polsce praktycznie zakazana. To była wojna o resztki godności polskich kobiet. Bo jeśli chodzi o konkret egzystencjalny, jakim jest załatwienie sobie zabiegu przerwania ciąży wtedy, kiedy go naprawdę potrzebujesz, to nikt przytomny nie idzie negocjować do Chazana, tylko jedzie za granicę – na Litwę, do Niemiec, na Słowację, na Ukrainę – albo szuka znajomego lekarza. Obrona kompromisu aborcyjnego niewiele tu zmieni, ale może dać poczucie godności. I ta walka o godność porwała zwykłe kobiety. Ciekawe były badania Claudii Snochowskiej-Gonzalez, Eli Korolczuk, Beaty Kowalskiej i Jennifer Ramme, które zrobiły wywiady z lokalnymi liderkami czarnych protestów. Wyszło im, że jest jedna rzecz, która te kobiety łączy: wszystkie mówią o sobie, że są zwykłymi kobietami, a nie że feministkami. To je zresztą różni od organizatorek Manify. Myśmy były przekonane, że jesteśmy zupełnie wyjątkowe, a nasz sposób myślenia jest sposobem mniejszościowym. Miałyśmy poczucie, że tak naprawdę nie mamy szans. Nasz ruch był ruchem mniejszościowej autoekspresji. Jak na Manifę zaczęły przychodzić tysiące kobiet, to byłyśmy tym mocno zdziwione. I chyba nadal tak jest. Tu nie ma aspiracji do masowości. Natomiast te lokalne przywódczynie czarnych protestów były zdumione, że jakieś kobiety się nie przyłączają. Przecież wystarczy być kobietą.

Wystarczy być kobietą – innymi słowy, żeby móc razem wyjść na ulicę, trzeba przestać się napażać?

Można się napażać, to zdrowe, ale potem trzeba umieć razem działać. Ta rzekomo z gruntu racjonalna lewica jest tak przywiązana do konfliktu o ideową czystość, że wewnętrzne spory zamieniają się w czystki, a rozpad wpędza ją w samozachwyty. To uniemożliwia wspólne działanie. Musimy przestać przeciwstawiać nasz racjonalizm ich emocjonalności, musimy się zająć byciem emocjonalnymi we właściwy sposób. To nie jest konflikt emocjonalnych, szalonych pravicowców z racjonalnymi liberałami czy lewicowcami. Emocje są po obu stronach i trzeba im nadać kształt. Bo mamy do czynienia z po-

pulistycznym momentem, w którym następuje prawdziwe starcie formacji kulturowych. Tu idzie o duszę ludu czy może raczej o definicję tego, kto jest ludem, a kto elitą. Jeśli nam się uda zbudować taką opowieść, w której lud, który jest może czasem konserwatywny, ale jednak z gruntu równościowy i wolnościowy, znalazł się pod butem ultrakonserwatywnej, skorumpowanej i neoliberalnej mniejszości, to mamy szansę uratować demokrację. To jest kwestia ramy, przez którą zobaczymy świat. Kwestia tego, jak opowiemy sobie współczesność.

Nie jestem pewna, czy to działa w ten sposób. Bo czy naprawdę jest tak, że ktoś tworzy dobrą opowieść, a lud ją podejmuje? Ludzie przecież swój rozum mają – i może biorą tylko takie opowieści, które im się podobają lub przydają.

Uważasz, że społeczeństwo ma jakieś skryształizowane poglądy, niezależne od debaty publicznej, a następnie wybiera sobie tych, którzy te poglądy głoszą?

Nie, ale myślę, że jest jakaś synergia między podstawowymi potrzebami ludzkimi a tym, jaka narracja się przyjmuje. Może ludzie mają na przykład interes ekonomiczny, który wyznacza zakres narracji, jakie mają u nich szanse.

Tak, oczywiście – nie każda opowieść ma szansę się przyjąć. Ale poglądy kształtują się w toku debaty publicznej. Ona nadaje im kształt. Wybierasz swój światopogląd spośród tych, które krążą w powietrzu. Otóż na ten interes ekonomiczny i – dodajmy – potrzebę godności uczciwiej odpowiada lewica. Ale nie udaje jej się przebić, przynajmniej u nas. Prawicowa rama populistyczna chwyta bardziej niż lewicowa.

Może dlatego, że idzie za nią realne wsparcie ekonomiczne, na przykład program 500+?

Tak, też. Ale nie próbowałabym, jak część lewicy, wyjaśniać wszystkiego, także rasizmu, homofobii czy nacjonalizmu, wyłącznie ekonomicznym upodleniem. Po pierwsze, na populistów głosuje w dużej mierze klasa średnia. Po drugie, sprowadzanie wszystkiego do ekonomii wymiata z pola widzenia ogromne pole ludzkich potrzeb, pragnień, motywacji. To zabieg, który za dużo za jednym zamachem wyjaśnia, a to we mnie zawsze wzbudza podejrzliwość. Myślę, że wszyscy ludzie mają głęboką potrzebę, jak by to powiedzieć...

Narracji moralnej?

Tak. Spójnej opowieści o świecie. Poczucia godności i poczucia, że są szanowani. Nancy Fraser nazywa to „uznaniem”. To nie jest zamiast kasy. To są potrzeby równoległe i w dużej mierze na siebie nachodzące. Obszarem, w którym najlepiej widać, jak nachodzą na siebie wartości i potrzeby ekonomiczne, jest kwestia opieki i macierzyństwa. Nieprzypadkowo najpierw napisałam



książkę o macierzyństwie, a potem zajęłam się antygenderem. Taką samą ewolucję przeszła zresztą Elżbieta Korolczuk – jest redaktorką naukową wraz z Renatą Hryciuk świetnej książki *Pożegnanie z Matką Polką?*. Jedno z drugim się rymuje, to nie są dwa różne tematy, to jest ten sam temat. Neoliberalizm, po pierwsze, zignorował problemy ekonomiczne związane ze zobowiązaniami opiekuńczymi ogromnej części kobiet. Po drugie, zignorował kwestie godności opieki. A po trzecie, nie zajmował się wcale kwestią więzi emocjonalnej. I właśnie z tego powodu kobiety przyłączają się do ruchów prawicowych pod hasłem obrony macierzyństwa.

Może nie pozwolimy się wam wyemancypować, ale przynajmniej nie będziecie się czuły jak idiotki, siedząc w domu z dzieckiem i trąc marchewkę.

No właśnie. Godnościowe schronienie. Uwznioślenie marchewki, bo marchewka to troska, więź z dzieckiem, czas z nim spędzony. Rzecz niezwykle ważna.

Nie wymawiając, czy nie mogłyście na to, drogie polskie feministki, wpaść trochę wcześniej? Ja się wychowałam na waszych teoriach. Potem, dwanaście lat temu, urodziłam dziecko i pierwszą moją reakcją była panika, że ta więź mnie upupi. Przeżywałam tożsamościowe katusze, siedząc w domu z synem, zamiast się tym cieszyć. A potem ta sama pani Graff, którą wcześniej czytałam, mówi nagle w wywiadzie o swoim synu, że się wzajemnie sobą „upajali” – tak, pamiętam to sformułowanie – i że feministki muszą się zająć tematem więzi. Początkowo strasznie mnie zdenerwowało.

Też musiałam dorosnąć. *Matka feministka* była wytworem moich zawirowań biograficznych. Wieloletnie starania, by zostać matką, a potem samo doświadczenie więzi z dzieckiem – to mnie otworzyło. Nie stałam się konserwatystką, ale pojawiła się we mnie gotowość do przyglądania się autentycznym emocjom towarzyszącym kobietom po stronie ultrakonserwatywnej. U liberałów i na lewicy nie znalazły dyskursu, który nadawałby godność ich doświadczeniu. Tak samo jak nie znalazły rozwiązań politycznych i ekonomicznych, które przyniosłyby im namacalną ulgę, pomogły ogarnąć organizacyjną stronę życia. Bo opieka to jest praca, ogromna i ciężka praca, którą trudno wykonywać bez silnego poczucia sensu, tożsamości.

Na Kongresie Kobiet długo uważano, że mi odbiło, bo mówiłam, że jeżeli chcemy emancypować kobiety w kraju, w którym dziewięćdziesiąt procent obowiązków opiekuńczo-domowych spoczywa na kobietach, to nie można im po prostu kazać iść do pracy i walczyć o równość płac. Trzeba pomyśleć, jak uczynić ich życie na tyle znosnym, żeby w ogóle mogły o tej pracy pomyśleć. Kiedy feminizm zostaje przejęty przez neoliberalizm i zaczyna powtarzać, że pracę trzeba oddzielić od opieki, bo pra-

codawca nie może ponosić jej kosztów, kobiety uciekają na prawą stronę.

Jeśli jesteśmy wspólnotą, to ten pracodawca też korzysta z tego, że połowa społeczeństwa załatwia mu sprawę opieki.

Jaką wspólnotą? Neoliberalizm widzi tylko rywalizujące ze sobą jednostki. Dla matek to jest dramat, bo opiekując się małym dzieckiem, automatycznie przestajesz być taką jednostką – ale i nie chcesz nią już być. I PiS wprowadziło jakieś rozwiązania, które kobietom ulżyły. Jest mnóstwo wad w ich legislacji, ale na przykład poprawiła się ściągłość alimentów. Rodzice dostali te pięćset złotych. Znam kobietę z Podlasia, matkę trojga dzieci, która w tartaku zarabiała tysiąc czterysta złotych – a teraz dostaje tysiąc pięćset i może normalnie zająć się dziećmi. Fakt, zaraz za tym idzie Kaja Godek z zakazem aborcji – ale przynajmniej jest się o co zacząć. To jest polityka społeczna. Może nie emancypacyjna, nie równościowa, ale oddająca szacunek opiece. I odpowiedzią na nią nie może być powrót do naszej świetlanej, liberalnej przeszłości, w której pralka sama pierze, sprząta nam jedna pani, a lud to mohery. Potrzebny jest rodzaj lewicowości, czulej na kwestie ekonomiczne i nasyconej emocjonalnie.

Jest jakaś poważna siła polityczna, która to oferuje? Na przykład Razem?

Chwilami tak, chwilami nie. Niestety, Razem posługuje się językiem trudnym – językiem, którym ja też się posługuję – i on nie trafia pod strzechy. To nie jest z mojej strony krytyka, raczej przejaw pewnej bezradności. Na tym polega problem współczesnej lewicy – nie potrafimy rozmawiać z głosującym na PiS człowiekiem spoza wielkiego miasta jak równy z równym, nie umiemy zbudować wzajemnego zaufania. Może zresztą już jest za późno? Może my dla nich już jesteśmy ideologią LGBT i agentami zgnitego Zachodu?

A jeśli tak?

Cóż, wciąż jest jeszcze jedna rzecz, która nas łączy.

Co takiego?

Wszystkich nas zaleje topniejący lodowiec albo wysuszy nadchodząca susza. Nasza cywilizacja naprawdę się kończy, jesteśmy u kresu. Wszystkie te spory, o których rozmawiamy, niedługo staną się nieważne, mimo że bardzo staramy się tego nie widzieć.

Jeśli nam się uda zbudować opowieść, w której lud, czasem konserwatywny, ale jednak z gruntu równościowy i wolnościowy, znalazł się pod butem ultrakonserwatywnej i neoliberalnej mniejszości, to mamy szansę uratować demokrację.



Książka Agnieszki Graff i Elżbiety Korolczuk *Anti-gender Politics in the Populist Moment* ukaże się w 2020 roku nakładem wydawnictwa Routledge, a jej polska wersja – w wydawnictwie Krytyki Politycznej.